

**PSY**

**NA RUSKICH**



MARCIN WYRWAŁ

**PSY**

**NA RUSKICH**

**POLACY WALCZĄCY Z ROSJĄ W UKRAINIE**



**OTWARTE**

KRAKÓW 2024

Copyright © by Marcin Wyrwał

Copyright © for this edition by Wydawnictwo Otwarte 2024

Wydawca prowadzący: Rafał Czech

Redakcja tekstu: Błażej Kemnitz

Opracowanie typograficzne książki: Daniel Malak

Adiustacja, korekta i lamowanie: Studio NOTA BENE

Projekt okładki: Urszula Chylaszek (front), Monika Drobnik-Słocińska

Fotografia na okładce: .shock / Adobe Stock

ISBN 978-83-8135-417-2



Dystrybucja: SIW Znak. Zapraszamy na [www.znak.com.pl](http://www.znak.com.pl)

Wydawnictwo Otwarte sp. z o.o.,  
ul. Smolki 5/302, 30-513 Kraków. Wydanie I, 2024.

Druk: WZDZ Drukarnia Lega

*Dla wszystkich, którzy walczą, choć nie muszą.*

*Świat cały śpi spokojnie  
i wcale o tym nie wie,  
że nie jest tak na wojnie,  
jak jest w żołnierskim śpiewie<sup>1</sup>.*



## WSTĘP

Pełnoskalowa inwazja Rosji na Ukrainę z 24 lutego 2022 roku zastała mnie w Kijowie. Przyjechałem tam dwa tygodnie wcześniej, aby relacjonować dla portalu Onet wydarzenia związane z koncentracją rosyjskich wojsk pod ukraińską granicą. W ciągu pierwszej doby od ataku Rosjan ta olbrzymia, tłumna metropolia niemal zupełnie opustoszała. Zostali żołnierze i cywilni ochotnicy, którzy z wydaną im przez administrację bronią organizowali punkty oporu na dużych skrzyżowaniach. Napiętą atmosferę oczekiwania na wejście wroga do miasta potęgowały ogłaszane co kilka dni lockdowny, czyli całkowite zakazy wychodzenia na ulice, w czasie których ukraińskie służby wyłapywały grasujące po stolicy rosyjskie grupy dywersyjne, wdzierające się do samego centrum.

Mieszkałem wówczas w pobliżu Rynku Besarabskiego, położonego ledwie pół kilometra w linii prostej od siedziby prezydenta Ukrainy Wołodymyra Zełenskiego w rządowej dzielnicy Kijowa. Nocą słyszałem z balkonu przeciągłe serie z karabinów maszynowych, by rankiem natknąć się na posiekane kulami auta, wbite w ogrodzenie pobliskiego ogrodu

botanicznego, i odpryski od pocisków na elewacjach okolicznych budynków. Poczucie obłączenia i oczekiwania na to, co wydawało się nieuniknione, narastało z każdym dniem.

Pewnego wieczora znalazłem w skrzynce pocztowej jednego z moich kont społecznościowych wiadomość od nieznanego człowieka. Pisał, że na pomoc ukraińskim obrońcom jadą polscy ochotnicy, a on sam wiózł na granicę jednego z nich. Zostawił mi do niego kontakt.

Ta informacja zaintrygowała mnie, ale przez kolejne dni intensywnie relacjonowałem coraz dynamiczniej rozwijającą się sytuację w Kijowie i na jego obrzeżach. Po mieście krążyła plotka o planowanym desancie rosyjskich spadochroniarzy w pobliżu Besarabki. W tym czasie zacząłem wyjeżdżać do atakowanego przez Rosjan podkijowskiego Irpinia. Zburzone mosty, poharatana przez artylerię zabudowa, płonące domy, których nie miał kto gasić, i leżące na ulicach trupy, których nie można było zebrać z powodu ostrzału snajperów, sprawiały, że obecność Rosjan stawała się wręcz namacalna, mimo że wciąż nie było ich widać.

Któręś wieczora wygospodarowałem w końcu chwilę, aby zadzwonić pod przekazany mi numer. W słuchawce odezwał się mężczyzna mówiący płynnie po polsku. Wsluchiwałem się w jego słowa z nieufnością, obawiając się prowokacji, których tak wiele wówczas było. Jednak to, co mówił, i bardzo konkretne szczegóły, które podawał w rozmowie, szybko mnie przekonały, że jest tym, za kogo się podaje – polskim ochotnikiem walczącym z Rosją na Ukrainie<sup>1</sup>.

Kiedy ja znajdowałem się w obłączonym Kijowie, on, były żołnierz Wojska Polskiego i wnuk zabitego przez Sowieców kresowiaka, czatował pod miastem na rosyjskie kolumny i ostrzeliwał je z ręcznej wyrzutni przeciwpancernej Javelin. W wywiadzie, który wówczas z nim przeprowadziłem,



opowiadał o wielogodzinnym oczekiwaniu na Rosjan pod gałęziami drzew skrywającymi ukraińskie grupy przed poprzedzającymi kolumny wroga dronami obserwacyjnymi. Mówił, jak uderzali w konkretne elementy kolumn, tak aby dokonać jak największych zniszczeń oraz sparaliżować ich postępy. Równie ciekawa była jego historia piłkarskiego kibica, poprzez którą wyjaśniał, dlaczego stadionowe bójki i leśne ustawki znacznie lepiej przygotowały go do wojny niż służba w polskiej armii. To połączenie patriotycznych pobudek z nieakceptowanymi społecznie zachowaniami nie po raz pierwszy w trakcie mojej pracy korespondenta wojennego przypominało mi, że w dużych konfliktach zbrojnych niczego i nikogo nie da się opisać za pomocą prostych, czarno-białych schematów.

Świadomość, że wśród rzeszy Ukraińców walczy z Rosjanami także Polak, dodawała mi w tym bardzo złym czasie dziwnej otuchy. Kiedy z założenia chirurgiczna, kilkudniowa „specjalna operacja wojskowa” Rosji przekształciła się w krwawą i długotrwałą wojnę, zacząłem poznawać kolejnych Polaków, którzy dołączali do Sił Zbrojnych Ukrainy. Okazali się oni niezwykle różnorodną grupą. Oprócz byłych żołnierzy spotykałem pracowników banków, restauratorów, handlowców, budowlańców, emigrantów z Wielkiej Brytanii, a nawet byłych urzędników instytucji rządowych. Wszyscy oni porzucili swoje zajęcia, aby walczyć z Rosją.

\*

Ich motywy były także zróżnicowane – od zakorzenionej w tradycjach rodzinnych świadomości zagrożenia, jakie niesie ze sobą Rosja, przez przekonanie o rosyjskiej sprawczości katastrofy smoleńskiej, chęć niesienia pomocy humanitarnej,

która przerodziła się w coś większego, aż po konsekwentne planowanie swojej życiowej ścieżki jako żołnierzy bijących się w słusznej sprawie.

Mimo sporej różnorodności Polaków na tej wojnie łączą też pewne schematy. Znaczna większość z nich to nie członkowie zwykłej piechoty, lecz specjaliści w swoich dziedzinach – operatorzy dronów, działający za liniami wroga zwiadowcy, walczący na bliskich dystansach operatorzy grup szturmowych, snajperzy, eksperci z zakresu obsługi konkretnego sprzętu, medycy pola walki, ludzie pełniący funkcje dowódcze w sztabach i oddziałach.

Co jakiś czas rosyjskie media informują o zlikwidowaniu przez wojsko Kremla dużych grup „polskich najemników”. Jeśliby wierzyć tamtejszym źródłom, to tylko do końca pierwszego roku inwazji na Ukrainie miało zginąć ponad dwustu Polaków. To oczywisty fałsz. W rzeczywistości nawet w szczytowych okresach obecności polskich ochotników na Ukrainie ich liczba nie przekraczała kilkadziesiątu osób. Na początku działali w ramach Międzynarodowego Legionu Obrony Terytorialnej Ukrainy, który skupiał walczących po ukraińskiej stronie obcokrajowców, a kiedy umożliwiło to ukraińskie prawo, zaczęli też podpisywać kontrakty bezpośrednio z oddziałami Sił Zbrojnych Ukrainy.

Ich wiedza i doświadczenie mogłyby się okazać niezwykle cenne dla polskiej armii. Brali udział we wszystkich kluczowych operacjach wojny: odpychali Rosjan spod Kijowa w początkowej fazie inwazji, bronili zakładów Azowstal w Mariupolu, wyzwalałi obwód charkowski w czasie letniej ofensywy 2022 roku, działali w Bachmucie, Sołedarze i Awdijiwce na Donbasie, a także w obwodzie zaporoskim w południowej części frontu.

Byli również aktywni po rosyjskiej stronie. 15 lutego 2023 roku w jednym z kijowskich hoteli uczestniczyłem w spotkaniu założycielskim Polskiego Korpusu Ochotniczego (Польський добровольчий корпус, PDK). To jednostka specjalnego przeznaczenia działająca na wzór powstałych wcześniej Rosyjskiego Korpusu Ochotniczego (Російський добровольчий корпус, RDK) oraz Białoruskiego Korpusu Ochotniczego (Білоруський добровольчий корпус, BDK). Obecność na tym spotkaniu dowódców rosyjskiego oddziału potwierdzała bliskie relacje między działającymi w ramach tych jednostek Polakami oraz Rosjanami i była zapowiedzią ich rychłej współpracy.

Niecałe cztery miesiące później, 1 czerwca 2023 roku, RDK i rosyjski Legion „Wolna Rosja” ogłosiły, że zaatakowały obwód biełgorodzki w Rosji. Po trzech dniach informacja o udziale polskiego korpusu w tej operacji pojawiła się na jego kanale na Telegramie, lecz z przyczyn politycznych zniknęła po kilku godzinach. Jednak Polacy brali udział w tamtych działaniach, o czym opowiada w tej książce dwóch ich uczestników (po mniej więcej roku działalności PDK stała się formacją marginalną w kontekście działań Polaków na Ukrainie). Kolejni mówią o operacjach zwiadowczych po rosyjskiej stronie frontu. Jeszcze inny Polak stracił nogę na polu minowym w Rosji. Wszelkie działania na terenie wroga oprócz sporej odwagi wymagały od tych ludzi wysokich kwalifikacji.

Ani polska armia, ani polskie władze nie mają dużej wiedzy o Polakach, którzy walczą na Ukrainie. Po tym jak opublikowałem kilka wywiadów z nimi, w grudniu 2022 roku zadzwonił do mnie pewien ówczesny minister, który zajmował się w rządzie sprawami wojennymi, i poprosił o udostępnienie kontaktów do polskich ochotników. Twierdził, że

państwo chce im w jakiś sposób pomóc. Żaden odpowiedzialny dziennikarz nie udostępnia osobom postronnym swoich źródeł, ale poinformowałem jednego z Polaków o tej propozycji, a on skontaktował się z ministrem. Zapowiadana pomoc ograniczyła się do paru kompletów umundurowania. Na tym zakończyły się kontakty między naszymi ochotnikami i polskim państwem.

Jeżeli zaś chodzi o armię, to oprócz kilku prelekcji dla żołnierzy poszczególnych jednostek nie doszło do żadnej współpracy, która pozwoliłaby Wojsku Polskiemu czerpać z wiedzy i doświadczenia ochotników. Z wielu rozmów, które odbyłem po obu stronach polsko-ukraińskiej granicy, wywnioskowałem, że nasza armia, opierając się na doświadczeniach z Iraku i Afganistanu, wciąż w dużym stopniu przygotowuje się do zupełnie innej wojny niż tocząca się na Ukrainie. Jak powiedziała mi osoba zaznajomiona z realiami obu kampanii, wciąż szykujemy się do wojny, która była, a nie do tej, która będzie.

W pierwszym roku rosyjskiej inwazji temat walczących na Ukrainie Polaków stał się atrakcyjny dla polityków. Wobec masowego wsparcia polskiego społeczeństwa dla ukraińskich uchodźców wojennych i jednoznacznego opowiedzenia się przeciwko Rosji polityczne deklaracje pomocy dla Polaków walczących po stronie Ukrainy były doskonałym sposobem zyskiwania przychylności wyborców. Dla polskich ochotników było to o tyle istotne, że zgodnie z kodeksem karnym za podjęcie służby w obcym wojsku bez zgody właściwych organów grozi im kara od trzech miesięcy do pięciu lat więzienia.

13 kwietnia 2022 roku w radiu RMF FM ówczesny wiceminister obrony narodowej Marcin Ociepa zadeklarował: „Z całą pewnością nie będziemy karać ludzi, którzy

wiedzeni takim odruchem naturalnym obrony słabszych, sięgnęli po broń, by bronić Ukrainy, mając świadomość, że Ukraińcy walczą także za nas. [...] Tych ludzi nie tylko nikt nie będzie karał, ale uważamy ich za bohaterów”<sup>2</sup>. W tym samym miesiącu senat przyjął projekt Ustawy o niekaraniu ochotników broniących wolności i niepodległości Ukrainy. Projekt ten trafił do sejmu. Mijały kolejne miesiące i społeczeństwo najpierw przyzwyczało się do wojny, a następnie zmęczyło nią. Osłabły naciski na rząd w tej sprawie, a i samym politykom przestało się opłacać wspieranie polskich ochotników. W momencie oddania tej książki do druku, ponad dwa lata od złożenia go w Sejmie, z projektem abolicji nic się nie dzieje.

Większość Polaków zaciągała się do ukraińskiej armii odruchowo, nie myśląc o kwestiach prawnych. Niektórzy zwrócili się o zgodę do Ministerstwa Obrony Narodowej, ale wobec braku reakcji po prostu pojechali na wojnę. Kiedy po niemal roku od rozpoczęcia rosyjskiej inwazji zapytałem resort o zgodę dla Polaków, otrzymałem odpowiedź, że prowadzonych jest trzynaście postępowań, ale jak dotąd nie została wydana żadna zgoda, bo chociaż według przepisów sprawy te powinny zostać rozpatrzone niezwłocznie, to te same przepisy „przewidują także sprawdzenie w kartotekach powszechnie niedostępnych (na przykład służb specjalnych cywilnych i wojskowych – M.W.), co znacznie wydłuża procedurę i uniemożliwia określenie precyzyjnego terminu zakończenia postępowania”<sup>3</sup>.

Kiedy to samo pytanie zadałem resortowi ponad rok później, wszystkie informacje dotyczące polskich ochotników okazały się już danymi wrażliwymi, więc odpowiedzi mi odmówiono. Biuro prasowe ministerstwa dodało, że nie toczą się „żadne prace dotyczące zmiany obowiązującego stanu

prawnego regulującego zagadnienia służby obywateli polskich w obcej armii lub obcej organizacji wojskowej”<sup>4</sup>.

\*

Od zakończenia drugiej wojny światowej w operacjach poza granicami Polski wzięło udział ponad sto dwadzieścia tysięcy żołnierzy i członków personelu wojskowego. Działali oni w najdalszych zakątkach świata, od Korei Północnej i Południowej na dalekim wschodzie Azji, przez Czad, Egipt czy Namibię w Afryce, Haiti w Ameryce Środkowej aż po duże misje w Iraku i Afganistanie. Ludzie ci mają w pełni zasłużony status weteranów działań poza granicami państwa włącznie z wszelkimi przywilejami, jakie są z nim związane.

Za naszą wschodnią granicą kilkudziesięciu Polaków bierze udział w pełnoskalowym konflikcie zbrojnym, wyjątkowym, bo z państwem, które stanowi bezpośrednie zagrożenie dla egzystencji naszego narodu. Ludzie ci nie mają żadnej ochrony prawnej ze strony państwa polskiego, wprost przeciwnie – po powrocie grozi im więzienie. Mają za to unikatowe doświadczenia i informacje, bezcenne w obliczu możliwej agresji Rosji. Dzielią się nimi w tej książce z każdym, kto zechce ją przeczytać. Mówią tu własnym głosem. Niektórzy zdążyli to zrobić przed śmiercią. Za jednego z poległych wypowiada się jego ojciec. Każda z tych opowieści jest inna, lecz razem tworzą spójną historię wojny, która może się stać i naszym udziałem.

Piaseczno, 5 maja 2024 roku

## DAMIAN DUDA, „LEKTOR”, 36 LAT

Kiedy zakopywaliśmy ludzi w ziemi, kiedy jak szczury uciekaliśmy z jednej piwnicy do drugiej, kiedy umierali nasi koledzy, to ciągle slyszalem w mediach, że Bachmut się broni albo *Fortecę Bachmut*, albo inne piosenki o Bachmucie. Wtedy naprawdę ogarniała mnie złość – złość na to, że gra się życiem żołnierzy i robi z Bachmutu miasto symbol. A on był miastem grobem.

Zrozumiałem też, jak bardzo polska armia jest odrealniona i nieprzygotowana do konfliktu, który właśnie wybuchł. Coraz wyraźniej widziałem, że chociaż minęło dziewięć lat wojny z Rosją i rok pełnoskalowej inwazji, to polskie wojsko wciąż pozostaje oderwane od rzeczywistości. Ukraińska wojna na każdym kroku pokazywała mi, że polskie wojsko przygotowuje się nie do tej wojny.

\*

Tradycje wojenne i partyzanckie w mojej rodzinie są bardzo silne. Dziadkowie ze strony matki poznali się, kiedy wracali z niemieckiego obozu pracy, gdzie zostali wywiezieni

jako dzieciaki. Mieli jedenaścioro dzieci, z czego jedenasta była moja mama. Moja prababka była kierowniczką składu broni i komórki przerzutowej Batalionów Chłopskich w Górach Świętokrzyskich. Miała pseudonim „Kruk”. Kiedyś zastanawiałem się nad tatuażem, co by to miało być, co chciałbym nosić do końca życia i czego bym nigdy się nie wyparł. Wymyśliłem wtedy zestawienie kobiety z krukiem na cześć mojej prababki. Bardzo żyliśmy tą wojenną historią w mojej rodzinie.

Gdy studiowałem historię i fakultatywnie historię sztuki na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, wsiąknąłem w organizację proobronną Legia Akademicka, która szkoliła studentów w jednostkach wojskowych. Z czasem zostałem jej szefem i prowadziłem ją przez dziesięć lat. Do tego dochodziły kluby strzeleckie. W końcu zostałem wykładowcą akademickim. Uczylem studentów uniwersytetu oraz klasy mundurowe w liceum edukacji wojskowej, strzelectwa i pierwszej pomocy.

Na zajęcia z obsługi kałacha przychodziły studentki z tipsami wielkości palca i próbowały mi udowodnić, że długie paznokcie nie przeszkadzają skutecznie walczyć. Jestem daleki od generalizowania, że kobiety są gorsze w walce, od kiedy na szkoleniu podstawowym w wojsku jeszcze nie przebiegłem pierwszego okrążenia, a moja koleżanka już nakręcała kolejne. Wychodzę z założenia, że o skuteczności w walce decydują przydatność, dostosowanie i predyspozycje, a nie płeć. No i były studentki, które sobie radziły, a były takie, które w trakcie szkolenia traciły te tipsy i zaciskały powieki, żeby nie uronić łzy.

Ze studentami miałem dobry kontakt, bo nie sprzedawałem im teorii lub czegoś, co w ich mniemaniu było oderwane od rzeczywistości, tylko robiliśmy praktykę. Kiedy zacząłem



jeździć na wojnę, doszło do tego autentyczne doświadczenie z pola walki. Gdy zaczynałem uczyć w klasach wojskowych, to w całej szkole była jedna klasa mundurowa. Ale kiedy ci młodzi ludzie zobaczyli, że traktuję ich serio i jasno określam reguły, to zaczęli się do tego garnąć. Po paru latach w lubelskim XIV Liceum Ogólnokształcącym mieliśmy chyba szesnaście takich klas.

Pracowałem z młodzieżą dziesięć lat i bardzo to lubiłem. Oficjalnie wciąż jestem nauczycielem akademickim, bo moja obecna uczelnia, Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie, przedłuża mi urlopy bezpłatne. Chciałbym tam kiedyś wrócić. Dla mnie to było bardzo fajne, kiedy szkoliłem tych ludzi, a potem spotykałem ich w różnych jednostkach wojskowych, od terytorialsów i żandarmerii po batalion reprezentacyjny i wojska specjalne. Byłem jednak człowiekiem, który zawsze ocierał się o wojsko, ale do pewnego momentu życia nigdy nie był na wojnie.

\*

Zawsze zadawałem sobie pytanie, jak to będzie, kiedy obok głowy przeleci mi pierwszy pocisk albo usłyszę pierwszy wybuch. Czy to nie będzie tak, że tak naprawdę szkole się na poligony i teatrzyki, a w realnej sytuacji po prostu się obsram.

Czułem, że muszę się o tym przekonać na własnej skórze. W 2008 roku prawie pojechałem na wojnę Rosji z Gruzją, ale wtedy jeszcze nie bardzo potrafiłem znaleźć kogoś, kto by mnie, dziewiętnastoletniego chłopaka o zerowej przydatności, potrafił wcisnąć w gruzińskie struktury, które walczyły z ruskimi. Z perspektywy tego, co teraz wiem o wojnie, zabrzmiałoby to wyjątkowo głupio, ale wtedy uważałem, że

urodziłem się w złych czasach, bo nie mam możliwości zweryfikowania, czy jestem mężczyzną i patriotą.

Kiedy w 2014 roku wybuchła wojna na Ukrainie, byłem już lepiej przygotowany. Pojechałem tam, żeby zrealizować chłopięce marzenia o wojnie. Swoje zrobił też etos bohaterów wojennych, na którym byłem wychowywany.

Z wojną na Ukrainie miałem jednak pewien problem. KUL jest środowiskiem raczej prawicowym i konserwatywnym, w którym bardzo mocno funkcjonowało środowisko związane z ofiarami rzezi wołyńskiej. Dlatego w naturalny sposób czerpałem informacje z takich miejsc jak Kresy.pl<sup>1</sup> i w związku z tym byłem święcie przekonany, że w 2013 roku na Ukrainie doszło do neonazistowskiej i banderowskiej rewolucji. W tym przekonaniu utwierdzały mnie odpowiednie obrazki podsuwane przez tego rodzaju portale.

Miałem więc pewien dylemat, czy tam jechać. Ale chciałem być na wojnie, a nie było mowy, żebym pojechał do ruskich, bo nienawiść do nich wyssałem z mlekiem matki. Babcia zawsze opowiadała, że Niemcy nie byli niczym dobrym, ale zdarzało się, że na wsi Niemiec swoje konie pożyczył, a niemiecki lekarz przyszedł pomóc, jeśli gdzieś w chałupie był ciężki poród. Natomiast jak szedł ruski, to już nie było taryfy ulgowej. Dla mnie ruski nigdy przyjacielem nie był i nie będzie, jednak w sprawie tego wyjazdu miałem wrażenie, że wybieram pomiędzy „źle” a „niedobrze”. Chciałem zobaczyć, jak wojna wygląda od strony ukraińskiej, tylko się zastanawiałem, czy oni mnie na widły nie nabiją.

Ale nadarzyła się okazja. Na przełomie 2014 i 2015 roku jeden z moich studentów wyjeżdżał akurat do Mariupola z pomocą humanitarną dla Polaków, którzy zostali zesłani w te rejony jeszcze w czasach carskich, tworzyli tam swoistą enklawę i zachowywali tożsamość narodową. Wyruszyliśmy

razem, tyle że we Lwowie on dostał sygnał od rodziny, że musi wracać, i zostałem sam z plecakiem i humanitarką. Zapakowałem się do pociągu i ruszyłem do Mariupola.

\*

Kontakt z Polakiem, który miał mnie przyjąć na miejscu, urwał się, więc zostałem z tym wszystkim sam. Ale pociąg do Mariupola jechał trzydzieści godzin, a ja co chwilę poznawalem w nim żołnierzy, którzy wracali z przepustek na front. I oni wszyscy chcieli gadać z Polakiem. Moja znajomość ukraińskiego była żadna, a rosyjskiego słaba, ale jak na stół wjeżdżał alkohol, to po pierwszej butelce tłumacz już nikomu nie był potrzebny. Okazało się, że jeden z chłopaków jest z pułku Azow<sup>2</sup>. Myślę sobie: „Uuu, Duda, z wysokiego C zaczynasz, jak na dzień dobry już się bratasz z nacjonalistami”. Powiedziałem mu, że miałem kontakt z jednym ukraińskim żołnierzem, ale się urwał. A on mówi: „Ja go znam. Chodź, zabiorę cię na bazę”. I tak wlałem do gniazda szerzeni – wylądowałem w bazie pułku Azow.

\*

Dla mnie to była pełna egzotyka, także dlatego że baza Azowa mieściła się w mariupolskiej posiadłości Janukowycza<sup>3</sup>. Pamiętam, jak mnie zatkało, kiedy po raz pierwszy wszedłem do jednego z domów na jej terenie i zobaczyłem cały ten ogrom spływającego po ścianach złota. Żołnierz, który mnie do niego zaprowadził, wytłumaczył mi, że to tylko pomieszczenia dla służby i że właściwa dacza Janukowycza jest po drugiej stronie bazy, ale tam nie możemy wejść, bo mieści się w niej sztab. Patrzyłem na to wszystko

i myślałem sobie, że skoro ta władza narzucała Ukraińcom na ręce kajdany, bo przecież byli krajem wasalnym Rosji, a sama kąpała się w złocie, no to jak ci ludzie mieli się nie wkurwić.

Zacząłem rozmawiać z chłopakami z Azowa, poznawać ich ludzką twarz. Im bardziej ich poznawałem, tym bardziej obierałem ich z epitetów i porównań dotyczących nacjonalizmu i nazizmu. Jasne, widziałem tam jakąś symbolikę nacjonalistyczną i byli tam ludzie, którzy utożsamiali się z pewnymi trendami, ale nie było żadnej odgórnie narzuconej ideologii. Nie spotkałem u nich ani jednego twardego nazisty, który by hajlował czy chodził z nazistowską flagą. Chociaż oczywiście wiem, że i tacy gdzieś tam byli. Zaczęło do mnie docierać, że ukraiński nacjonalizm nie jest antypolski. On jest skierowany przeciwko Rosji. Zrozumiałem, że świat nie jest czarny ani biały.

W Azowie poznałem ludzi, którzy nie trafili tam dlatego, że modlili się do obrazka Hitlera powieszzonego nad łóżkiem, ale dlatego, że ten batalion, a później pułk był bardzo dobrze zorganizowany, zmotywowany i kierowany. Oni bardzo szanowali życie swoich żołnierzy i wiedzieli, jak ich wyposażać oraz wyszkolić. Przyglądałem się im i myślałem sobie: „Cholera, to są normalne chłopaki, żadni tam naziści”.

Azow był formacją ochotniczą, co szczególnie do mnie przemawiało. Przyjechałem na Ukrainę jako człowiek, który już od lat dążył do tego, żeby w Polsce powstała oderwana od wojsk operacyjnych armia obywatelska zajmująca się obroną swojego lokalnego ogródka. W tym sensie byłem zachwycony powstawaniem ochotniczych batalionów na Ukrainie. Przecież to ochotnicy zatrzymali wtedy ruskich w obwodach donieckim i ługańskim. To dzięki nim ruscy nie doszli wtedy pod Dniepr.

W 2015 roku Azow był na poziomie zachodnich armii, a może nawet trochę wyżej, bo do nich już wtedy przyjeżdżali